

A. CONAN DOYLE

Pręgowana skrzynia

Tłumaczył L. B.

Wywrócił kieszenie zamordowanego, mówiąc te słowa, i wydobył na światło dzienne talie kart, sznur wysmarowany dziegciem i paczkę brazylijskiego tytoniu.

— Halo, — zawołał nagle, — a to co?

Był to wielki nóż z otwartym ostrzem, dający się zamykać jak scyzoryk, który podniósł z podłogi. Stał ostrza była jasna i lśniąca tak, że nie mogliśmy go łączyć ze zbrodnią, jednak zamordowany trzymał go widocznie w ręku, kiedy otrzymał cios, bo jeszcze teraz nie wypuszczał go ze swego uścisku.

— Zdaje mi się, kapitanie, że wiedział, iż jest w niebezpieczeństwie i trzymał nóż w pogotowiu — zauważył porucznik. — Bądź co bądź, teraz biedakowi nie możemy nic pomóc. Nie mogę się wyznać, co to za paczki przymocowane do ścian. Wyglądają na bożki, broń i wszelkiego rodzaju osobliwości zapakowane w stare worki.

— Masz pan słusność — odparłem — Prawdopodobnie to są jedyne przedmioty mające jakąś wartość, które możemy zabrać z okrętu. Niech pan zawoła na barkę i każe przysłać drugą szalupę, aby pomogła nam przewieźć to wszystko na nasz statek.

W czasie jego nieobecności zbadałem tę ciekawą zdobycz, która przeszła w nasze posiadanie. Osobliwości były tak grubo opakowane, że co do ich rodzaju zdołałem wytworzyć sobie tylko ogólny sąd. Lecz pręgowana skrzynia stała się dobrem światłem tak, że mogłem ją dokładnie zbadać. Na pokrywie pościąganej metalowymi klamrami i zaopatrzonej okuciami na rogach była wyryta cała tarcza herbowa, pod którą znajdował się napis po hiszpańsku. Zdołałem go odczytać; brzmiał następująco: „Skrzynia ze skarbem Don Ramirez'a de Leyra, Kawalera Orderu św. Jakóba, Gubernatora i głównodowodzącego Terra Firma i prowincji Veraquas”. W jednym rogu była data 1806, a w drugim wielka biała kartka z napisem angielskim: „Uprasza się usilnie, pod żadnym warunkiem nie otwierać skrzyni”. Pod spodem to samo ostrzeżenie było powtórzone po hiszpańsku. Sam zamek był masywny i bardzo ciężki, z rytowanej stali, na której znajdowało się motto łacińskie, przechodzące jednak zrozumienie marynarza.

Gdy ukończyłem badanie szczególnej skrzyni, podjechała do statku druga szalupa z Mr. Armstrongiem, moim pierwszym porucznikiem i zaczęliśmy wynosić i ładować do niej rozmaite osobliwości, jedyne, jak się zdawało, przedmioty, które warto było zabrać z opuszczonego okrętu. Kiedy łódź była pełna, odesłałem ją z powrotem do barki, a sami tymczasem, Allardyce, ja, cieśla i drugi marynarz, wynieśliśmy pręgowaną skrzynię, jedyne przedmiot, który jeszcze pozostał na statku i spuściliśmy ją z burty okrętu do łodzi, umieszczając ją w równowadze na na dwóch środkowych ławkach; była bowiem tak ciężka, że łódź zaczęłaby się niebezpiecznie przechylać, gdybyśmy ją umieścili z przodu albo z tyłu. Co się tyczy zamordowanego, to pozostał w miejscu go tam, gdzieśmy go znaleźli.

Porucznik twierdził, że prawdopodobnie w chwili opuszczenia statku zaczął on rabować, a kapitan dla utrzymania karności powalił go toporem lub jakąś inną ciężką bronią. Wydawało się to bardziej prawdopodobne, niż którekolwiek inne wytłumaczenie, a jednak mimo to nie przekonywało mnie w zupełności. Ale ocean jest pełny tajemnic. Zadowoliliśmy się więc niem, a los zamordowanego marynarza z brazylijskiego brygu, powiększył długą listę tajemnic, które żyją w pamięci każdego żeglarsza.

Wyciągnęliśmy linami ciężką skrzynię na pokład „Maryi Sinclair” i czterech marynarzy zaniosło ją do kajuty, gdzie pomiędzy stołem a ścianami było w sam raz dosyć miejsca na nią. Stała tam w czasie kolacji, po której dwaj porucznicy pozostali ze mną, by przy szklance grogu rozprawić o wypadkach dnia. Armstrong był to wysoki, chudy człowiek, podobny do sępa, wyborny żeglarz, ale osławiony z powodu swego skąpstwa i chciwości. Skrzynia ze skarbem

wprowadziła go w znaczne podniecenie i zaczął już obliczać z błyszczącymi oczyma, jak wielki udział przypadnie na każdego z nas z podziału nagrody za jej ocalenie.

— Jeżeli było tam napisane, że przedmioty są jedyne, Mr. Barclay, to może pan zażądać ile się panu podoba. Nie uwierzy pan, jakie sumy płacą bogaci zbieracze. Tysiąc funtów, to dla nich nic. Będziemy coś mieli z naszej podróży, jeśli się nie mylę.

— Nie sądzę. — odparłem. — O ile mi się zdaje, nie różnią się one wiele od jakichkolwiek innych osobliwości południowo-amerykańskich.

Ale gdzie tam! kapitanie. Odbylem w tych stronach czarnaście podróży handlowych, ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego do tej skrzyni. Tak jak jest, warta masę pieniędzy. Ale w dodatku jest tak ciężka, że z pewnością posiada drogocenną zawartość. Czy nie uważa pan, że należałoby ją otworzyć i zbadać?

— Jeżeli wylamiesz zamek, uszkodzisz ją najprawdopodobniej — zauważył drugi porucznik.

Armstrong przykucnął przed skrzynią, odwrócony do nas profilem i przybliżył swój długi, cienki nos na kilka cali do zamku.

— To dąb, — zauważył — zeszł się trochę ze starości. Gdybym miał dłutko albo silny nóż, mógłbym wylamać zamek bez żadnego uszkodzenia.

Na wspomnienie silnego noża przyszedł mi na myśl zabity marynarz na brygu.

— Ciekawym, czy i tamten na okręcie był przy takiej robocie, kiedy nagle ktoś mu przeszkodził — rzekłem.

— Tego nie wiem, kapitanie, ale jestem zupełnie pewny, że potrafię otworzyć skrzynię. Tam w szafie jest śrubczyk. Poświeć mi Allardyce, a kilkoma uderzeniami ją otworzę.

— Niech pan chwilę poczeka! — zawołałem, bo już ze wzrokiem błyszczącym od zaciekawienia i chciwości pochylił się nad wiekiem skrzyni. — Nie widzę powodu, żebyśmy się mieli spieszyć. Czytał pan kartkę z ostrzeżeniem, by skrzyni nie otwierać. Mniejsza z tem, czy jest jaki powód, czy nie, dość, że jestem skłonny tego usłuchać. Zresztą to, co w niej się znajduje nie ucieknie i jeżeli to coś drogiego, będzie miało dla nas taką samą wartość czy otworzymy skrzynię w kajucie na „Maryi Sinclair”, czy w biurze właściciela.

Pierwszy porucznik był widocznie gorzko rozczarowany moim postanowieniem.

— Zapewne, pana o nią głowa nie boli — rzekł z lekkim uśmiechem szyderskim. — Ale, jeżeli wydostanie się nam z rąk, a nie będziemy wiedzieć, co się w niej znajduje, możemy być pokrzywdzeni; zresztą...

— Dosyć, Mr. Armstrong! — przerwałem nagle. — Może mi pan całkowicie zaufać, że otrzyma pan wszystko, co się panu należy, ale nie życzę sobie, żeby dzisiaj skrzynię otwierać.

— Przecież sama kartka wskazuje, że skrzynię zbadali Europejczycy — dodał Allardyce — jeżeli to jest skrzynia na skarb, to jeszcze nie kwestya, że w tej chwili on się w niej znajduje. Niejeden już człowiek musiał do niej zaglądać od czasów starego gubernatora Terra Firma.

Armstrong rzucił śrubczyk na stół i wzruszył ramionami.

— Jak się panu podoba — rzekł.

Ale zauważyłem, że przez resztę wieczoru, chociaż rozmawialiśmy o wielu rzeczach, oczy jego ustawicznie zwracały się na starą, pręgowaną skrzynię z tym samym wyrazem ciekawości i pożądania.

A teraz przechodzę do części opowiadania która nawet teraz, kiedy o niej pomyślę, napętnia mnie drżeniem przestachu. Dokoła głównej kajuty były pokoje oficerskie, a mój był z nich najdalszy i leżał na końcu wąskiego korytarzyka wiodącego do schodów. Nie utrzymywałem regularnej straży chyba w nagłej potrzebie; wtedy trzech poruczników dzieliło ją między siebie. Armstrong miał drugą straż, kończącą się o czwartej rano i luzował go Allardyce. Ja, ze swej strony miałem zawsze bardzo silny sen i rzadko kiedy zdołało mi le obudzić coś innego, jak dopiero potrząśnięcie ręką.

Mimo to wszakże obudziłem się tej nocy, a raczej o wczesnym świtaniu. Mój chronometr wskazywał pół do piątej. Nagle stało się coś takiego, że zbudzony na dobre usiadłem na łóżku, drżąc na całym ciele. Rozległ się jakiś głos, trzask i okrzyk ludzki, który dzwonił mi jeszcze w uszach. Siedziałem przez chwilę nasłuchując, lecz wszędzie panowała znowu cisza.

A przecież ten okropny okrzyk nie mógł być wytworem mej wyobraźni, gdyż jego echo brzmiało mi jeszcze w głowie. Zdawał się on pochodzić z jakiegoś miejsca bardzo blisko. Wyskoczyłem z łóżka i narzuciwszy na siebie naprędce ubranie, skierowałem się w stronę kajuty.

Z początku nie mogłem dostrzec nic niezwykłego. W zimmem, szarem świetle zdołałem rozróżnić stół okryty czerwoną serwetą, sześć obracalnych stołków, kołyszący się barometr, orzechowe szafy i tam pod przeciwległą ścianą wielką, pręgowaną skrzynię. Odwracałem się już, zamierzając wyjść na pokład i spytać się drugiego porucznika, czy czego nie słyszał, gdy wtem nagle wzrok mój padł na coś wystającego z pod stołu. Była to noga ludzka — noga odziana w wysoki but marynarski. Pochyliłem się i ujrzałem skurczoną postać człowieka leżącego twarzą ku ziemi i z wyciągniętymi naprzód rękami. Jedno spojrzenie nauczyło mnie, że jest to pierwszy porucznik Armstrong, a drugie, że nie żyje. Przez chwilę stałem oniemiały. Pojem pobiegłem pędem na pokład, zawołałem Allardyce'a na pomoc i razem z nim wróciłem do kajuty.

Razem wyciągnęliśmy biedaka z pod stołu i popatrzywszy na jego splawioną we krwi głowę, spojrzeliśmy po sobie, a nic nie wiem, który z nas obu był bledszy.

— To samo, co u marynarza hiszpańskiego — rzekłem.

— To samiutefko. Niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece! To piekielna skrzynia! Niech pan patrzy na rękę Armstronga!

Podniósł do góry prawą rękę porucznika i ujrzałem w niej śrubczyk, którego wczoraj wieczór chciał użyć do otwarcia skrzyni.

— Zabrał się do skrzyni, kapitanie. Wiedział, że ja jestem na pokładzie, a pan śpi. Ukłaki przed nią i wylamał narzędziem zamek. Potem coś się z nim stało i krzyknął tak, że pan go usłyszał.

— Allardyce — spytałem szeptem — co mogło się z nim stać?

Drugi porucznik ujął mnie za rękaw i zaciągnął do swojej kajuty.

— Tu możemy mówić, kapitanie, nie wiemy, czy nas tam kto nie podsłuchuje. Jak pan sądzi, co się znajduje w skrzyni, kapitanie Barclay?

— Daję wam słowo, Allardyce, że nie mam pojęcia.

— Otóż, kapitanie, mogę znaleźć tylko jedną teorię, która tłumaczy te wszystkie wydarzenia. Niech pan spojrzy na wielkość skrzyni. Niech pan spojrzy na rzeźby i okucia, które mogą ukrywać dowolną ilość otworów. Niech pan spojrzy na jej wagę — trzeba było czterech ludzi, żeby ją unieść. A przedewszystkiem niech pan pamięta, że dwóch ludzi starało się ją otworzyć i obaj znaleźli przytem śmierć. A teraz, kapitanie, cóż to może znaczyć, z wyjątkiem jednej jedynej rzeczy?

— Sądził pan, że ukrywa się w niej człowiek?

— Naturalnie, ukrywa się w niej człowiek. Nie wie pan, jak to się dzieje w tych państwach Południowej Ameryki. Dziś się jest prezydentem, za tydzień ścigają pana jak psa i trzeba uciekać za cenę życia. Według mego zdania ukrywa się w niej człowiek uzbrojony i zdecydowany na wszystko, który postanowił walczyć do ostatniego tchu, zanim się da złapać.

— Ale skąd bierze żywność i wodę?

— To obszerna skrzynia, kapitanie, może więc mieć w niej schowane zapasy. Co do wody, to musiał mieć przyjaciela wśród załogi brygu, który troszczył się o to, żeby miał wszystko, czego mu potrzeba.

— Więc przypuszcza pan, że kartkę z prośbą, aby skrzyni nie otwierać, napisano poprostu dla jego korzyści?

— Tak, kapitanie, jestem tego zdania. Czy ma pan jaki inny sposób wytłumaczenia tego, co się stało?

Musiałem przyznać, że nie posiadam żadnego.

— Pytanie, co teraz czynić? — zapytałem.

— To niebezpieczny lot, który nie cofa się przed niczem. Sądzę, że nieźleby było uwiązać skrzynię na linie i spuścić ją do morza na pół godziny; potem moglibyśmy ją spokojnie otworzyć. A może byłby ten sam skutek, gdybyśmy skrzynię uwiązali tuż nad wodą, nie dozwalałając, żeby dostała się do środka. Albo, gdyby cieśla powłókł ją warstwą pokostu i za kał otwory do oddechania.

— Idźże pan, Mr. Allardyce — odparłem gniewnie — Nie powie pan chyba na seryo,